

## O pracy z dziećmi

Maurice Merleau-Ponty: „Choroba, podobnie jak dzieciństwo i stan „pierwotny”, jest kompletną formą egzystencji i sposoby, jakich używa, aby zastąpić normalne funkcje, które uległy zniszczeniu, są również zjawiskami patologicznymi. Nie można wyprowadzać normalności z patologii, braków ze sposobów, w jaki zostają zastąpione, zmieniając tylko znak ujemny na dodatni. Trzeba zrozumieć, że substytucje są właśnie substytucjami, widzieć w nich aluzje do fundamentalnej funkcji, jaką usiłują zastąpić, nie oddając jej bezpośredniego obrazu. Prawdziwa metoda indukcyjna nie jest „metodą różnic”, polega na poprawnym odczytywaniu modalności i wariacji całkowitego bycia podmiotu.” Sformułowanie „metoda indukcyjna” zastąp sformułowaniem „Metoda Feldenkraisa” albo „Funkcjonalna integracja”.

Tak widzę swoje zadanie w momencie, gdy siedzę przed dzieckiem, z którym mam pracować. Czasami na początku pytam rodziców, co ono już potrafi. Odpowiedzi typu „nic nie umie, po prostu leży” odrzucam. Staram się sam dostrzec, jak ono funkcjonuje. Jak się porusza, nawet jeśli jest to jedynie drobny ruch głową bądź ręką. Chcę zobaczyć, jak ta mała osoba sobie radzi. Jaki jest jej sposób wypracowany w czasie i w doświadczeniu, nawet jeśli straszliwie skromnym. Jakaą przyjmuję ona pozycję, jaką zajmuję postawę wobec świata, podłogi, przestrzeni, mamy, innych osób. Jak je odbiera i traktuje. Staram się domyśleć, jak je rozumie, ale przede wszystkim patrzę. Te proporcje są ważne. Mało jest mojego analizowania i domniemywania, więcej obserwacji konkretności: ułożenia ciała, rytmu oddechu, napięcia mięśni, płynności ruchów. Na tym poziomie pozostaję. Nie dopowiadam sobie głębi przyczyn. Dla niego to jedyna normalność jaką zna. Nie ma pojęcia o „funkcjach, które uległy zniszczeniu”, ponieważ one nie zdążyły się pojawić. Dlatego to, co robi nie mogę nazywać „substytucją”. Także odnoszenie jego sytuacji do funkcjonowania zdrowych rówieśników nie ma żadnego pożytku.

Każdy sobie jakoś radzi, próbuje, ale nie każdemu się udaje. Wtedy potrzebuje pomocy innych. Są tacy „inni”, którzy znają „prawidłowe wzorce” i „normalne funkcje”, więc próbują je narzucić / wykształcić / wypracować *w dziecku*. Robią to swoją mocą, siłą swoich mięśni, pewnością swoich przekonań. Jednakże ma rację Merleau-Ponty, kiedy pisze o „odczytywaniu modalności całkowitego bycia podmiotu” i o „kompletnej formie egzystencji”. Kilkuletnie dziecko jest już jakieś, jest już kimś. To może być

niejasne, to jest nieprzejryste, ale ono już jakoś istnieje. Na uchwyceniu tego mi zależy i na „podpięciu się” pod tą modalność i pod tę formę egzystencji. To jest punkt startu, bardzo trudny dla mnie punkt. Wystarczy, że myślę o dupie Marynie, aby go przegapić. Wystarczy, że podchodzę z propozycją ruchów schematycznie pt. „dziś będziemy rozluźniać nogi”, aby spotkanie zamienić w rehabilitację, może tylko miększą od innych. Przegapiam szansę spotkania. Narzucam swoje sposoby, ale one nie mają szansy być zrozumiałymi, bo nijak odnoszą się do aktualnej, tej tutaj „wariacji całkowitego bycia podmiotu”. Zostają odrzucone jak obce ciało.

Natomiast jeśli mamy oboje szczęście i czujemy się „by heart” (Moshe Feldenkraisa mówił, że bez miłości nie można pomóc drugiej osobie i miał cholera sporą rację); jeśli mamy ze sobą kontakt, to wydaje mi się, że sprawa jest prostsza niż zwykle sądzimy. Wyobraźcie sobie życie kilkuletniego chłopca czy dziewczynki z porażeniem mózgowym. Nie mieliście w szkole od szóstego roku życia tyle lekcji, ile oni od urodzenia fizycznych zajęć rehabilitacji, najczęściej siłowego rozciągania mięśni. Bywa, że po kilka godzin codziennie. Kontakt dotykowy z drugą osobą, która czeka i słucha jest dla nich tak niezwykły, że owa niezwykłość w zupełności wystarczy na pierwsze kilka zajęć. (Przy okazji, dla wielu zdrowych dorosłych to też jest nowy kosmos.) Trzeba jedynie zawczasu przygotować przekonujące wyjaśnienie dla obecnych przy tym rodziców, dlaczego robię tak mało, „prawie nic”. Tak, trzeba praktykować taoistyczną zasadę „wu-wei” – powstrzymywania się od działania. To jest kłopotliwe, bo to przecież zajęcia, trzeba być zajęтым, bo to płatne zajęcia, bo przyjechali do mnie z drugiego miasta, bo niecierpliwie czekają na rezultaty. Trzeba być mocno pewnym siebie i tego, że „tylko kontakt” to jest tak dużo właśnie dlatego, że jest tylko.

A potem? Gdy już jesteśmy podczepieni do siebie? Trzeba towarzyszyć. To piękny fragment, cudowna modalność. Iść za ruchem dziecka. Poprowadzić ten ruch dalej. Poprowadzić ten ruch inaczej. Obserwować, czym porusza, co mobilizuje, aby ten ruch wykonać. Położyć rękę na tej części, która się nie rusza, a wiem, że mogłaby pomóc wykonać ten ruch. (Miednica!) Zrobić przerwę i samemu poruszać tą dotąd nieruchomą, nieuczestniczącą częścią. Następnie wrócić do pierwszego ruchu. Poczuć, czy jest łatwiejszy, większy, swobodniejszy, bardziej całościowy. Dać odpocząć. Dać odrobinę oporu. Tylko tyle, aby został pokonany. Grać. Bawić się. Przekomarzać. Śmiać się. Zapomnieć o mózgowym porażeniu i o godzinie zajęć. Delikatnie prowokować ową „kompletną formę egzystencji” do organicznego rozwoju. Nie zastępować jej „zdrową funkcją”, nie korygować / nakłaniać do „prawidłowego

wzorca”, nawet jeśli rodzice nalegają i oczekują. Nie pchać, nie ciągnąć, ale zaciekawić i kusić, aby człowiek sam zdobył się w sobie. Przyłożyć rękę i dać wsparcie, aby osoba poczuła swoją moc, swoją zdolność do zrobienia kroku.

Aby ten ktoś przeszedł z fazy niemożliwe do fazy frustracji. Frustracja jest dobrym znakiem. Oznacza, że osoba miała już nadzieję, jeszcze tym razem niespełnioną, stąd złość, ale miała nadzieję, czyli widziała możliwość. Dlatego nie można tłumić złości, ani jej ośmieszać. To jakby spychać osobę do poprzedniej fazy niemożliwego bez nadziei. Złość jest nabieraniem mocy tak potrzebnej w następnym etapie. Z fazy frustracji do fazy „to zaczyna mieć sens”. Ruch rodzi się w bólach zrozumienia, układa na razie z kilku tylko jasnych elementów, a wiele innych wokół wciąż w ogóle nie pasuje. Jeszcze jest ciężko, potrzeba duuuuuużo czasu. Czaszka dymi, wzrok nieobecny na zewnątrz. Napięcie uwagi. Dla wielu zdrowych to moment krótki jak okrzyk „Eureka”, ale dla niej i dla niego ta rozkmina może trwać godziny i dni. To wspaniała lekcja pokory i cierpliwości. Nie można tego przyśpieszyć. Wystarczy moment rozproszenia, aby wszystko się rozpadło. Niedokończony domek z kart nie ma sensu, nie liczy się. Dopiero udany ruch rozświetla sytuację, przynosi rezultat, ulgę i uśmiech. Nie zawsze się udaje. Ja, asystent, bo przecież nie nauczyciel nie może zbyt poważnie do tego podchodzić, aby się nie spalić i aby nie udzieliła mi się frustracja. Jeśli się udaje, to powtarzamy ruch, aż trudny stanie się łatwym. Tak człowiek uczy się. Zdobywa się.

25.08.2019